Nr. 11. Warszawa, dnia 1 (13) Marca 1872 roku. ROK VIII.

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcji: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Światu), Nr. 3 (nowy).

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
Półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ —
miesięcznie — „ 25

Serya trzecia

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Człowiek w żelaznéj masce.

SZKIC HISTORYCZNY. (*)

Nigdy żaden wypadek w historji Francji, nie obudzał większéj ciekawości ogólu, jak owo tajemnicze zjawisko więźnia w żelaznéj masce. Jego imie, stopień towarzyski i jego wina, były przedmiotem ustawicznych poszukiwań. Któż nie czytał sławnego romansu nieboszczyka Dumasa p. t. Trzéj Muszkieterowie, któż nieprzypomina sobie owéj sceny, kiedy maska żelazna a raczéj stalowa, mniemany brat Ludwika XIV Króla Francji, z pomocą zawadjackiego oficera Muszkieterów niejakiego d'Artagn'ana, został pochwycony i wywieziony na wyspę S-éj Małgorzaty.

Lecz przypuszczenia Dumasa, nie mogły wytrzymać krytyki historycznéj, gdyż nigdzie nie znaleziono na to dowodów; przeciwnie, domyślano się, że karę tę okrótną poniósł naturalny syn króla Ludwika XIV i panny *Valli'ere, Xiążę Monmuth.* I to równie uległo nowéj hipotezie, gdyż twierdzono, że owym więźniem był syn *Oliwiera Kromwella,* Protektora Anglji. Daléj znowu rozchodziły się wieści, jakoby stalową maską był starszy brat Ludwika XIV. Anna Austrjaczka bowiem ukryła przed swoim małżonkiem urodzenie się syna! W późniejszym czasie, Ludwik XIV dowiedziawszy się o istnieniu starszego brata, przez prostą ostrożność, aby kraj nieuległ zamieszkom, powodowany, tak zwanym *politycznym rozumem,* brata zabezpieczył w sposób dotychczas wszystkim wiadomy, przez włożenie mu żelaznéj maski.

Mimo tylu przypuszczeń, które samym upływem czasu prawie zamieniły się w fakta historyczne, uczeni badacze wątpili zawsze i starali się wyjaśniać, że owa maska, nie była żadną królewską osobą, przeciwnie był nim zapewne jakiś więzień stanu, niebezpieczny przez swoje wybryki płynące z burzliwości charakteru; nieprzenikniona tajemnica imienia i stopnia nieszczęśliwego, tem bardziéj utwierdzała powyższe domysły.

Dopiero w nowszych czasach, usiłowania badaczy historyków uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem.

Sława wykrycia strasznéj tajemnicy, należy się bez zaprzecznia *Lordowi Dover.*

Przeglądając i studjując papiery dawne w Archiwach, odwołał się do Rządu Francuzkiego, który zezwolił na poszukiwania i w Archiwach Francji. Rezultat przeszedł oczekiwania. *Lord Dover* przyszedł do przekonania, że ową stalową maską nie był ani brat Ludwika XIV, ani syn Oliviera Kromwella, lecz był nim Włoch — *Hrabia Antonio Mattioli, Minister Karola Ferdynanda, Księcia Mantuy.*

Książe Ferdynand, należał do najwięcéj marnotrawnych i rozrzutnych panów, jacy kiedykolwiek żyli w Europie; skutkiem tego bardzo często znajdował się w gwałtownéj potrzebie, tak, że nie przebierał w środkach, byle tylko na nowo napełnić książęcą kassę. Ludwik XIV, znając tajemnicę wspomnionego Księcia, postanowił z tego skorzystać i rozszerzyć swój wpływ we Włoszech, przez wprowadzenie tamże armji okupacyjnéj. Wtym celu zaofiarował Księciu ogromną summę. Minister Ferdynanda Mattioli prowadził całą tę operację i udał się nawet do Paryża, aby się porozumieć z Królem co do szczegółów całego planu. Ludwik przyjął Ministra otwartemi rękami, starał się mu pochlebiać i przy odjeździe, jako wysoki dowód Monarszéj swéj łaski, wręczył mu drogocenny brylantowy pierścień i szkatułę z 100 tysiącami skudów. Stosownie do planu, forteca *Casale,* miała przejść do Francji. Lecz sprytny polityk, jakim był Ludwik XIV, nieprzewidział, że przedajny Minister mógł owe plany zniweczyć, jakoż w czasie pobytu swego w Paryżu, Mattioli, układał się równie o odstąpienie twierdzy z Ministrem hiszpańskim i ponieważ mu ten daleko większą sumę zaofiarował, zgodził się na propozycję hiszpana. Kiedy zbliżyła się chwila wykonania układu zawartego między Ferdynandem a Ludwikiem XIV, Mattioli zaczął robić pewne trudności i do tego stopnia posunął swoją śmiałość, że zawiadomił hiszpańskiego Gubernatora o przyjeździe posła, mającego wymienić wzajemnie punkta zdania twierdzy. Gubernator pochwycił posła i depesze. Kiedy tym sposobem zamiary Króla francuzkiego wykryte zostały a Mattioli wykonanie planu uznał za niemożliwe, Ludwik zmuszonym był zaprzestać dalszych w tym względzie kroków, ale postanowił za upokorzenie jakiego doznał, pomścić się na Ministrze w sposób straszny, mogący być przykładem na przyszłość dla zdrajców. Ukrył tedy głęboko nienawiść, przyjął usprawiedliwienie się Mattiolego i osobiście przesłał do niego list, z zaproszeniem, aby zechciał się na granicy zjechać z posłem francuzkim i bliżéj z nim porozumieć się.

Nieprzeczuwając nic złego a właściwie przekonany że układy jego zdradzieckie nie są znane królowi, włoch popadł w sidła, jakie mu przygotowano na granicy. W dniu 2 Maja 1679 roku przybył do oznaczonego miejsca. Ponieważ widzenie miało być tajemnicą dla wszystkich, tylko kilka osób, więcéj zaufanych, z sobą zabrał. Mattioli zajechał do samotnego, na ustroniu znajdującego się domu i tu oczekiwał na wizytę posła.

Około północy, kiedy włoch usnął twardo, nagle silnie zapukano do drzwi, Mattioli wyskoczył z łóżka i otworzył; na wielkie swoje zdziwienie ujrzał oficera, który z dobytym pałaszem wpadł do pokoju, a za nim liczny zastęp żołnierzy. Mattioli domyślił się że zdradę odkryto i chciał się bądź co bądź ratować ucieczką. Niezastanawiając się długo skoczył do okna.... niestety! próżna nadzieja, cały dom otaczały straże, bagnety błyszczały jak ogniki nocne. Kiedy część żołnierzy zabierała papiery, inni pochwycili Mattiolego, ubrali go gwałtem, związali ręce i nogi i uwieźli galopem. Za przybyciem na grunt francuzki, rozstrzelano wszystkich służących, Ministra, aby tym sposobem, przeciąć wszelką możliwą sposobność ratunku i na zawsze zagładzić ślady porwania poddanego obcego mocarstwa.

Naprzód odstawiono hrabiego do twierdzy *Pignerol,* gdzie przebył rok, w wilgotném podziemiu. Miejscowy kommendant, okrutny, bez serca, *Jan St. Mars,* mianowany został, nieodstępnym stróżem nieszczęśliwego Ministra. Po przeniesieniu go do zamku *Ij* na wyspie S-éj Małgorzaty i więzień zmuszony był mu towarzyszyć. Kommendant gubił się w projektach, jakim sposobem, możnaby obostrzyć i tak już godny litości, los Mattiolego. Męczarni, którym podlegał, żadne pióro opisać nie jest zdolne. Myśl, że imię jego wraz znim umarło na wieki, że odcięty został na zawsze od zewnętrznego świata, że ślad o nim zaginie, że żadna potęga niezdolna go wyrwać z murów więzienia, przedwcześnie zbieliła włosy nieszczęśliwego.

Więzienie, najgłębszy loch zamku, było wilgotne i pełne pełzających gadów. Jedyną żyjącą istotą, był jego dozorca, który nigdy nie przemówił doń słowa. Wyjeżdżać mógł tylko w nocy ubrany w czarny strój, a nadto założono mu takąż maskę, którą przytwierdzano do głowy i twarzy za pomocą drutów; tym sposobem powstała nazwa: *człowieka w stalowéj masce.*

(*) Artykuł wzięty z niemieckiego oryginału p. t. *Der mann mit der eisernen Maske.*

St. Mars otrzymawszy rozkaz ukrycia imienia i stopnia więźnia, przez cały ciąg swéj komendantury, dał dowody, że nie napróżno liczono na jego spryt i energję, okazał się nie tylko człowiekiem godnym zupełnego zaufania, ale nawet zyskał imię *nieugiętego* urzędnika.

Mattioli, kiedy go przeniesiono na wyspę S-éj Małgorzaty, po kilkakroć usiłował zawiązać stosunki z zewnętrznym światem; w tym celu, razu jednego, skorzystawszy ze sposobności, kawałek blachy, na któréj kamykiem wydrapał całą swoją historję, rzucił przez okno celi. Lecz ci, co go strzegli, umieli obrać stosowne miejsce dla skazanego; pod murami więzienia płynęło jezioro, blacha wpadła w wodę i praca kilku tygodni a może nawet kilku miesięcy, pokazała się bezowocną. Jednakże, dziwnym trafem, rybak łowiący ryby, zaciągnąwszy siecią, ową blachę, wraz z rybami wydobył.

Wypadek ten nie uszedł bacznego oka, czuwających zbirów, Gubernator powziąwszy wiadomość o szczególnym połowie rybaka, rozkazał natychmiast przyaresztować i blachę odebrać. Rybak pod zagrożeniem surowéj kary, wyznał wszystko i dopiero po zaprzysiężeniu dochowania tajemnicy, wolność uzyskał.

Od owéj chwili wydano rozkaz, aby żaden z rybaków, na przestrzeni jednéj mili od fortecy, nie ważył się zarzucać sieci.

W Październiku 1698 r. St. Mars, otrzymał gubernatorstwo Bastylii w Paryżu, wraz z nim odjechał także i Mattioli.

Tu pozostawał lat pięć, prawie jakby pogrzebany żywcem, aż nareszcie 19 Listopada 1703 roku, skończył strapiony żywot mając lat 69. Męczarnie wyszukane, prawdziwie szatańskie tortury, cierpienia, na których opowiedzenie niestarczyłoby zapewne życia człowieka, trwały przez lat 24. Zaiste, tylko człowiek potrafi się tak pastwić nad człowiekiem; tylko rozumna istota, w zapędzie gniewu lub bezecnych namiętności zdolna przewyższyć w okrucieństwie zwierzęta.

Mattioli umarł, nieprzestano jednak używać wszelkich środków zatarcia śladu popełnionéj zbrodni; grób zdawał się niedostatecznym do ukrycia ofiary politycznych namiętności. W więzieniu, ściany wydrapano aż do czerwonych cegieł, wyrwano podłogę, wygładzono nawet kamienie celi, aby gdziekolwiek niedojrzany okiem napis, nie zdradził bytności przeszłego mieszkańca.

Napisy pełne grozy, rysunki krwawych scen, w podobnych miejscach, obudzają ducha, nie przerażają, ale zapalają zemstę; są one jak zapach krwi, podczas boju na śmierć lub życie.

Nie dość że całą celę przekształcono z gruntu, ale nadto spalono sprzęty, któremi posługiwał się więzień, a przedmioty metalowe, stopiono.

W początkach swego więzienia Mattioli, uległ pewnemu rodzajowi obłąkania, już to skutkiem złego z nim obchodzenia się, już to skutkiem okropnych a nagłych przemian swego losu, i dopiéro zacny, humanitarny St. Mars, przez polepszenie pokarmu, mieszkania, i danie niektórych wygód więźniowi, wpłynął na polepszenie stanu jego umysłu.

Forteca, w któréj osadzono Mattiolego, zbudowana jest na skałach rozdzielających *Bay* od *Cannes*. Sciany celi więzienia miały 14 stóp grubości. — Wchodziło się do korytarza na 4 stopy szerokiego, sklepionego, więzienie od korytarza przedzielało troje żelaznych drzwi. Okna okratowane miały równie sklepione łuki, $2^1/_2$ stopy szerokie a 3 stopy wysokie: Rząd potrójnych prętów żelaznych 4 cale grubości, stanowił tak zwaną siatkę, zdaje się że z podobnéj, misternie zbudowanéj klatki, trudno byłoby się wydobyć.

Z okien więzienia był widok na góry *Esterelskie*, przedstawiający cudowny, uroczy pejzaż. W obraniu saméj celi nawet, widoczną jest znajomość wrażenia jakie czyni natura na umysł ludzki, umieszczono bowiem więźnia tak żeby go widok wolnych siniejących w oddali przestrzeni, rozbudzając tęsknotę, zabijał powoli.

S. M.

STROFKI URYWANE.

I.

Życie ludzkie?.. Patrzcie w dal—
Ludzkość w chwiejnéj płynie łodzi
Śród sierdzistych, czarnych fal;
Wicher smutną pieśń zawodzi...

Żagle szarpie tysiąc burz,
Morze nęci daléj, daléj...
Brzeg... A na nim?... Błoto, kurz—
Klątwy, jęki, łzy i żale...

Więc rzucamy brzeg i znów
Płyniem... Kędy?... Ha, nie wiecie?...
Gdzie dźwięk wielkich płynie słów—
Gdzie wiosenne ginie kwiecie...

Śpiewasz?... Chwilkę echo trwa...
Działasz?... W próżnię rzucasz ziarno...
Na pieśń—wzgardy padnie rdza—
Grób twą pracę schłonie marną...

Tak, niestety, Ten Mistrz chce,
Co bezmiarem jest w ogromie...
Kwiecie—błyśnie i już schnie—
I w zarzewiu gaśnie płomię...

Oto wielkość, grom?... Więc cóż?...
Bóg ostatnie rzeknie słowo—
I z podniebia spada w kurz,
Ten, co w wieczność darł się głową.

Oto piękność, róża z róż—
Świeci, wabi oczkiem płochem;
Śpiesz—na czole całus złóż—
Chwilka, a już piękność prochem...

Bo i czém my tutáj?... Czém?...
W oceanie—my kropelki...
My, malutkiém, nikłém źdźbłem,
A On—cedrów cedr!... On—Wielki!...

II.

Więc czém życie?... Czego płaczę?
Lutni moja! Idźmy jeszcze!...
Życie marne i tułacze —
Za natchnienia dajmy wieszcze!...

A że gorżko nam na świecie,
Toż się w niebo patrzmy śmiało...
A wierzących ból nie zgniecie,
Pokąd płomię nie skonało...

Klemens Podwysocki.

KILKA SŁOW O KIERUNKU WYCHOWANIA.

NAPISAŁ

Lucjan Falkiewicz

Weszło już prawie w powszechny zwyczaj, że kiedy się zdarzy mówić o złem teraźniejszego wieku, to zwykliśmy chwalić przeszłość w sposób nieumiarkowany, i przesadzamy w barwach przy malowaniu obrazu tak jednego jak drugiego. Dla tego też tyle,—i to z taką goryczą prawią o fizycznem i moralném zepsuciu dzisiejszego pokolenia, zaś z drugiéj strony z takiém uwielbieniem o niezrównanéj sile i wysokiéj cnocie dawnych czasów. Gdybyśmy tym naiwnym a roznamiętnionym opisom chcieli dać wiarę, tobyśmy musieli przyjść do tego rezultatu, że wiek nasz napełniony jest samymi niedołęgami, złoczyńcami, a dawniéjsze czasy szczyciły się samymi olbrzymami i bohaterami cnoty. Że jedno jak drugie twierdzenie jest najgrubszym fałszem, na to niepotrzeba, obszernych dowodów; wszakże po dziś dzień znajdziemy wiele wzniosłych charakterów pod względem moralnym, niemniej natrafiamy na potężne postacie pod względem fizycznym; podobnie jak dawniéj nie zbywało na ludziach złych i niedołężnych na ciele i duszy. Historja nakreśliła nam nie mało przykładów upadłych skutkiem moralnego upodlenia narodów i wiele namalowała perjodów, najbezecniejszéj rozpusty i zepsucia starodawnych, średnich i bliższych wieków.

Przyczyny zepsucia równie jak umoralnienia ludzi pojedynczych i całego narodu nie należy szukać w czasie,—bowiem czynniki jego były, są i będą zawsze jedne i te same mianowicie następstwa pór roku, dni i godzin, — ale raczéj w okolicznościach, jakie temu odwiecznemu, strumieniowi towarzyszyły, a jednym z najgłówniejszych po wszystkie wieki był stopień cywilizacyi wypływający z wychowania narodu. Oto jest nieomylna miara, którą mierzyć należy

siłę lub niedołęztwo, wzrost lub upadek ludzkości w pewnym okresie czasu i granicznéj przestrzeni. Kto nam prawi o wielkoludach zmierzchłych czasów, ten się nie zastanowił nad prawami natury, która pewnych granic nie przekracza. I tak np. są narody i całe pokolenia, które od pewnéj miary we wzroście nie odstępując takiemi są dziś jeszcze, jakiemi były dawniej. Z zabytków sztuki starożytnéj, i archeologicznych okazów przekonywamy się o tem dostatecznie. Stary Rzymianin był zawsze mniejszy, jak Germanowie i Scytowie, których wizerunki, mianowicie Daków na kolumnie Trajana świadczą: że wcale się nie różnią od dzisiejszego Niemca, Słowianina lub Wołocha.

Nieoglądając się przeto za jakimś urojonym ideałem przeszłości, możemy jednak zapytać się, czy pod względem fizycznym i moralnym nie zaniedbaliśmy czego, — czy niepozostaje nam coś do naprawienia, albo sprostowania w kierunku tak wielkiego przedsięwzięcia jakiém jest zdobycie prawdziwego uszczęśliwienia w przeznaczeniu ludzkości. Otóż ten kierunek wychowania jest niezmiernie ważną kwestją w pedagogii, nad którą aczkolwiek pobieżnie, zastanowić się należy.

Jedném z najgłówniejszych zadań wychowania obok wielu innych ważnych i niezbędnych warunków; jest przysposabianie dziecka do życia społecznego. Cel ten osiągniętym być może również przez społeczność. Tém najpierwszém społeczeństwem, z którego i w którém dziecko wzrasta jest familja. Ona jest tym gruntem na którym dziecinne życie pierwsze swoje zapuszcza korzenie, ssie pożywienie i pierwsze namaszczenie odbiera do przyszłego przeznaczenia społecznego. Łono familii jest tém samém dla dziecka czém było dlań łono matki, w którém przed urodzeniem żywiło się życiem swej rodzicielki i ukształtowało tak fizycznie jak psychicznie prawem jej przyrodności. Troskliwa pieczołowitość około dziecka, mianowicie tkliwe zajęcie się niém. w których to objawach zaznacza się początek, raczéj cel wychowania, jest to owe bezpośrednie zainteressowanie się niém, niema konieczność zawarunkowana uroczystemi aktami miłości, opieki i rozkoszy. Takiém samém prawem natury wychowuje dziecko rodzeństwo, mianowicie braciszkowie i siostrzyczki; a to tym prostym sposobem, że z małym przybyszem bawią się i z nim towarzysko żyją. Tu tedy rozpoczyna się w dziecku najpierwsze kiełkowanie wyobrażeń, skłonności, i nawyknień, co stanowi pierwsze zarysy rozwoju indywidualności, czyli przyrodzonych zdolności człowieka. Ten widnokrąg familijnéj przestrzeni rozszerza się powoli w miarę potrzeby poznania nowych i nieznanych przedmiotów w różnych kierunkach pod wpływem nieustannych zajęć malca. Dla zaspokojenia wszakże tych potrzeb jedna familja już niewystarcza, lecz okazuje się konieczność połączenia się większej liczby tych familijnych stowarzyszeń dla zajęcia swych dzieci. Tém rozszerzoném kołem rodzinnego społeczeństwa są: podwórka, ogrody publiczne, i t. p. zebrania, przyspasabiające dzieci różnych rodzin do większego społeczeństwa.

Po takiém ośmieleniu i przysposobieniu dziecka do towarzyskiego życia, rozpoczyna się powoli, bez nagłego przejścia ze swobody dziecinnych igraszek do poważniejszego obowiązku, nauka czytania, pisania, rachowania i ogólnych zarysów jeografii. O sposobie, jakim te początkowe wiadomości najpraktyczniéj winny być wychowankowi przyswajane pomówimy później, na teraz nadmienimy tylko, ażeby przy zaprzątnieniu władz duchowych rozwój sił fizycznych nie był zaniedbany. Niepotrzeba głębokiéj znajomości organizmu ludzkiego ciała — kiedy mowa o podwójném życiu człowieka, —mianowicie duchowém i fizyczném aby się przekonać, które części tej budowy i do czego one są przeznaczone. W tułowie panuje przeważnie życie cielesne, kształtujące cały ustrój organizmu, głowa jest siedzibą życia umysłowego a zewnętrzne członki, stanowiące dowolne poruszenia, przeznaczone są do przenoszenia ciała z jednéj miejscowości na drugą, niemniéj do mechanicznego oddziaływania na przedmioty zewnętrzne, również z mechanicznemi zmysłami w ścisłym zostające związku; a wszystko to razem wzięte stanowi miłość życia, siły, wzrostu, pod opieką głównego warunku zdrowia, bez którego ani życie ciała, ani duszy trwałego bytu mieć nie może.

Do zdrowego zatém rozwoju i utrzymania tych wszystkich funkcij życia potrzebnym jest niezbędnie ruch, bez którego zdrowie pozostanie tylko na łasce czasu, a co gorsza pastwą pierwszego lepszego przypadku.

Jeżeli mowa o kształceniu energii i woli człowieka, w takim razie ruch ciała czy to sposobem dziecinnych igraszek, czy gimnastyki winien być położony na najpierwszém miejscu, bowiem poruszenie ciała samowolne, jako panowanie nad niém, stanowią bezpośrednie i najistotniejsze współuczestnictwo z wolą. W gimnastyce spoczywa niejako upostaciowane kształcenie obyczajności i dopomaga jak każdy środek dobrego wychowania do rozwoju umysłu, bowiem ćwiczy władze pojęcia i wyobraźni.

Przejdziemy teraz do bezstronnego, a praktycznego ocenienia wartości wychowania; o którém, według osobnych zapatrywań różne są zdania. Jedni utrzymują, że wychowanie jest wszechwładne i wszystko może, — inni zaś twierdzą, że ono nie wiele pomoże tam, gdzie skłonności dziecka z urodzenia są złe, że natury ludzkiéj przerobić nie podobna, jak oddziedzicznych chorób żadna sztuka lekarska zażegnać nie jest w stanie. Jednakowoż oba te twierdzenia, jak każda ostateczność z rozumną praktycznością, pogodzić się nie dadzą. Tu prawdy należy szukać w środku pomiędzy temi dwoma zdaniami. Wychowanie może wiele, — bardzo wiele, ale nie wszystko; bowiem wpływ wychowania bywa ograniczonym przeróżnemi warunkami. których usunięcie, mimo największych wysileń nie od nas zależy,—mianowicie wrodzone skłonności i usposobienie duchowe ucznia z jednéj, a przymioty i uzdolnienie wychowawcy z drugiéj strony, nadto stosunki okoliczności, w których wychowanie się odbywa, a nakoniec duch czasu i położenie narodu szczęśliwe lub niefortunne, wywierają na takowe siłę potężną, która całe pokolenie podnieść może do moralnéj wielkości lub zepchnąć je do nikczemnego poniżenia

Pod tym względem, mianowicie co do sposobu wychowania dadzą się trzy główne wprowadzić czynniki, w których cała doniosłość tego ważnego spoczywa dzieła i najstateczniejsza działalność jego dopełnioną być może.

Temi czynnikami są: Cel wychowania, jego środki i metoda. Najważniejszym i najbliższym celem wychowania winno być wprowadzenie wychowanka, już jako ucznia, na drogę własnego kształcenia się; a ponieważ to ostatnie ma na widoku osiągnienie przeznaczenia człowieka w społeczeństwie, zatem należy go uważać za ostateczny cel wychowania,

Co do środków, te są różne; dadzą się wszakże do trzech głównych sprowadzić okresów.

Do pierwszego zaliczymy pielęgnowanie i opiekę, podnoszące naturalny rozwój wychowańca, za pomocą troskliwego dozoru, łagodnego przestrzegania, następnie karnością, tj. przyzwyczajeniem ucznia, w ciągu nabywania pojęć potrzebnych, do własnego kształcenie się za pomocą zachęty, zaciekawiania, czynnego zajęcia, przykładu, nagrody i kary, ćwiczenia, a nakoniec saméj uporządkowanéj nauki.

W metodzie wychowania, głównym warunkiem jest prawdziwa dzielność samego wychowawcy, którego wpływ na ucznia winien być wszechstronnie silnym, ażeby za pomocą wyżéj wymienionych środków, zamierzony cel mógł być osiągniętym.

Do pewnego wieku, mianowicie do 10-go roku ucznia, odbywa się wychowanie po największéj części bez pewnego, z góry określonego planu. Jeżeli wychowawca ma prawdziwe poczucie swego obowiązku, posiada zmysł swego powołania i właściwy takt, w takim razie niema potrzeby na ten brak pewnego planu, czyli wytkniętego kierunku w wychowaniu uskarżać się — bowiem przy zachowaniu pewnych prawideł, czyli przestrzeganiu właściwych sposobów zmierzających do jakiegoś szczegółowego założenia w wychowaniu, takowe łatwo może przejść w jednostronność lub przewrotność; co wyniknąć może z różnego sposobu zapatrywania się na naturę ludzką. Wychowanie surowe, despotyczne, widzi w ludziach tylko niewolników pewnéj liczby panów, i chciałoby młodzież przygotować do bezwarunkowego służalczego posłuszeństwa. Wychowanie pietystyczne wychodzi z téj zasady, że człowiek z natury jest złym i zepsutym,—po prostu grzesznym, ułomnym na ciele i duszy, gdy przeciwnie filantropijne, dopatruje w człowieku pierwiastku, wszystko dobre i uprzedzoném jest o jego pierwotnie najlepszych przymiotach, które wychowanie, ma tylko do życia pobudzić, ażeby takowe zajaśniały blaskiem doskonałości. Sposób materjalistyczny wychowuje tylko dla ziemi, idealny, odwrotnie, wyłącznie dla nieba. Pieszczotliwe wychowanie wybiera tylko takie środki do swego celu, które z wszelkiemi skłonnościami dziecka zgodzić się mogą, zaś ostro-ascetyczne ucieka się do sposobów mających na widoku pośmiertne losy duszy ludzkiéj, czyli jego wieczne zbawienie, bez względu na przeznaczenie doczesne człowieka.

Wszystkie te i tym podobne sposoby jako nienaturalne, mogą być szkodliwe, a jako jednostronne zamiast prowadzić do ukształcenia, usposabiają tylko do dziwactwa. Właściwy i jedyny sposób wychowania jest ten, który występuje w czystém pojęciu ducha czasu, postępu i utilitarności, opartéj na miłości bliźniego i kraju, a ugruntowanéj na prawdzie i cnocie chrześcijańskiéj, który łączy powagę z łagodnością a surowość z pobłażaniem, i tylko te środki wyklucza, co się sprzeciwiają moralności i ubliżają godności człowieka. W takiém zastosowaniu środków, nic się w dziecku nie wy-

przedza, ani też ogranicza na wyłącznem rozwijaniu naturalnych czyli wrodzonych usposobień ucznia, lub wykorzeniania takowych bezwarunkowo z gruntu. Każdy nowy wpływ winien się wiązać z ogniwem już istniejącém. Rozpoznawszy tak wszechstronnie i dokładnie naturę środków i skutków ich, należy rozbudzać siłę wychowańca do samodzielności i takową naginać ku wszystkiemu co jest dobre, szlachetne i wzniosłe, a obok tego pożyteczne nie tylko dla niego, lecz dla kraju i dla całego ludzkiego społeczeństwa. Należy mieć to zawsze na uwadze, że doskonałość natury ludzkiéj zasadza się na największéj harmonii wszystkich sił duszy, mianowicie uczucia, woli, rozumu, wyobraźni i umysłu; nadto na najmożliwszém zespoleniu tych władz duchowych z siłami fizycznemi, które do popoprzednich czynników duszy bezwarunkowo są potrzebne. Jako wszystkie siły i czynności podwójnéj natury człowieka są jedno, tak też jedność i zgodność wszystkich sił winny być celem i owocem ludzkiego wychowania. Przyroda i opowiadanie mogą stanowić najpierwszą naukę religii dla serca i duszy. Zabawki, któremi dziecko się zajmuje, stanowią przejście do uporządkowanéj czynności, a zamiłowanie do zajęcia rozbudza pilność i kładzie pierwsze podwaliny do poczucia obowiązku. Przyjacielskie obcowanie, miłe upominanie, prowadzenie serdeczne i życzliwe przy pielęgnowaniu zdrowia ciała, nie pozwolą zaginąć swobodzie i wesołości dziecka, lecz będą owém najpiękniejszém wianem, które w najpóźniejszéj starości, zdobi człowieka czystego serca i czynnego ducha.

Złem burzącém szczęście ludzkie jest pycha, z której jak zatrute wyziewy z nieczystego bagna, podnoszą się ohydne namiętności, obok których ręka w rękę postępuje egoizm, ów nienasycony potwór, wyciągający swe drapieżne szpony za wszystkiém co jest zakazane.

Religia, praca, pilność i nauka— oto są kardynalne środki ku zapobieżeniu tym zgorszeniom, obrażającym godność człowieka, a szerzącym nieszczęście w ustroju ludzkiego społeczeństwa. Każde zatem wychowanie oddalające się od tych zasad, jest szkodliwém, podkopuje szczęście tak pojedynczych ludzi, jakoteż familij, i prowadzi do upadku kraje i narody.

MYŚL

o budowaniu domów dla klass pracujących.

Tak u nas jak i w wielu innych krajach Europy zdarza się często, że stajnie dla zwierząt domowych, staranniéj i wygodniéj są zbudowane, jak domy mieszkalne dla *ludzi biednych*. Ztąd pochodzą rozliczne choroby, słaby wzrost ludności i stosunkowo krótkie życie klass biednych tych krajów gdzie nie ma należytego poczucia obowiązków społecznych sumienności i miłości bliźniego, gdzie nareszcie policja budownicza nie jest stanowczo uorganizowaną.

Zdaniem naszém, najlepszym i najskuteczniejszym sposobem zaradzenia temu jest związanie się osób prywatnych w rodzaj spółki filantropijno-przemysłowéj, któréj celem byłoby stawianie domów mieszkalnych dla robotników z uwzględnieniem zasad hygienicznych i zastosowaniem się do rodzaju zajęć przyszłych ich lokatorów, współka podobna działając w ten sposób zmusiłaby obecnych właścicieli domów do wprowadzenia niezbędnych ulepszeń.

W m. Warszawie i w innych miastach naszych widzimy: że wszyscy prawie rzemieślnicy i wyrobnicy biedni zajmują mieszkania zbyt ciasne, wilgotne i zimne, a pomimo tych wad opłacają z nich drogie komorne, niemogąc dostać tańszych i lepszych pomieszkań.

Otóż spółki do budowy domów dla robotników miejskich z całą łatwością u nas mogłyby zawiązywać się w towarzystwa akcyjne, gdyby Magistraty miast zechciały pomódz w tym względzie przez zrobienie jakich ulg i dogodności, a że, prawie każde u nas miasto ma swoje place i nieruchomości, mogłoby więc oddać takowe towarzystwom akcyjnym, za opłatą małego czynszu, w wieczyste posiadanie a po wybudowaniu na nich domów uwolnić je od opłat miejskich i skarbowych. Z upływem czasu mieszkańcy tych domów mogą wykupić akcje i stać się częściowymi właścicielami mieszkań przez siebie zajmowanych i takowe zamieszkiwać albo z nich pobierać dochody. Do tego jednak potrzeba pieniędzy i osobistego udziału ludzi dobréj woli, dla których niedola klass ciężko pracujących nie jest obojętną. Nie wątpimy, że znajdą się u nas tacy ludzie, a rachujemy szczególnie na właścicieli zakładów przemysłowych którzy zapewne nie cofnęliby się zapewne od rozebrania akcij na domy dla robotników, jak również i na pp. Budowniczych we względzie planów i dopilnowanie bezpłatnie budowy tych domów.

Domy takie powinny być stawiane w miejscowościach w dobre powietrze i wodę obfitujących a odnośnie do wielkości mniéj więcéj mogące pomieścić sto familii. *Jeden taki dom* w każdym cyrkule m. Warszawy nie będzie zbytecznym ani niebędzie mógł wpływać na obniżenie komornego w domach prywatnych, gdyż z każdym rokiem zwiększa się ruch handlowo-przemysłowy i ludność pracująca ciągle z prowincyi napływa. Domy te nie powinny być wyższe jak o parterze, pierwszém i drugiém piętrze a w nich mieszkania na parterze i pierwszém piętrze trzeba urządzać na stóp dwanaście wysokie, a na najwyższém pietrze na stóp 9 do 10 miary nowopolskiéj. Ponieważ w domach tych mieścić się powinni tylko rzemieślnicy pojedynczo pracujący albo inni robotnicy potrzebujący mieszkań dla rodziny swojéj i dla własnego noclegu, przeto mieszkania szczegółowo składać się mogą: z 1 stancyi około stóp kwad. 64, kuchenki łokci kw. 18, i takiéjże piwnicy na pomieszczenie paliwa i warzywa. Mieszkania te powinny być o jednéj lub dwóch izbach średniéj wielkości. Prócz tego potrzebne będą większe lokale na szkoły elementarne męzkie i żeńskie których sale wieczorami mogą służyć dla rodziców na miejsca odczytów i zabaw, oraz lokal na tanię kuchnię. Na parterze mogą być pomieszczone sklepy z artykułami żywności i pierwszych potrzeb z wyłączeniem szynków z napojami spirytusowemi. W tyłach piece i kuchenki powinny być stawiane z uwzględnieniem oszczędności na paliwie, i dlatego mury ścian zewnętrznych na najwyższém piętrze powinny być na 2 stopy grube, które zarazem ochronią mieszkańców od zimna i od wilgoci przez cieńsze mury w naszym klimacie przeciskającéj się.

Wszyscy rzemieślnicy potrzebujący do swoich robót ognisk i narzędzi łoskot czyniących powinni z swoimi warsztatami pomieścić się w piwnicach tych domów, inni z ciężarami do roboty mający na parterze, reszta na wyższych piętrach, W suterynach niemożna urządzać izb mieszkalnych, gdy doświadczenia przekonały nas o tém, że wilgoć w nich powszechnie miejsce mająca, wchodząc przez skórę i otwory oddechowe do organizmu ludzkiego, wywołuje rozstrój organów żywotnych, sprowadza ciężkie choroby piersiowe i reumatyczne, do wyleczenia niepodobne. Pod wszystkiemi domami wypada budować piwnice dla uniknięcia wilgoci w mieszkaniach parterowych, pożądaném by również było żeby ściany z obydwóch stron na stóp kilka od dołu były cementem wyprawiane, i aby pod podłogą sypano gruz ceglano-wapienny, popiół, miał węglany albo piasek wysuszony.

Mieszkania takie zaopatrzeć należy w wentylatory z kanałami dymowemi połączone i w lufciki w oknach, a nareszcie przez okna w dostatek światła do pracy każde mieszkanie zaopatrzone być powinno. Dla uzupełnienia wygód w takim domu potrzebném tu znajduję, aby w nim były urządzone spólne pralnie, suszarnie i magle do bielizny, a również podwórza dzikiemi drzewami ocenione i obejmujące studnię jednę z wodą miękką a drugę z twardą do picia; a nareszcie kilka stajenek na krowy i konie i inne wygodne urządzenia.

W stawianiu takich domów przewodniczyć powinna, chęć przyniesienia ulgi biednym robotnikom w wydatkach i ochronienie ich od chorób z mieszkań wilgotnych i zaciśnionych dotąd im dokuczających, a zatem nie żądamy domów ozdobnych, izb malowanych i pieców z pięknych kafli—tylko mieszkań tanich i zdrowych. Gdy te względy będą zachowane, to mieszkanie pojedyncze złożone z izby, kuchni i drwalni nie będzie rocznie więcéj kosztować robotnika jak rs. 45, a taniéj gdy w niém dwie familje pomieszczą się, przy téj cenie komornego z domu specyalnego, akcyonarjusze mogą jeszcze otrzymać dywidendy rocznéj około 8% od sta, przy któréj nie będzie im trudno podać ręki bratniéj pomocy, ludziom bez niéj dotąd marnie ginącym.

W miastach gubernjalnych, w miastach powiatowyah, w osadach czyli byłych miasteczkach i we wsiach naszych, mieszkania ludzi pracujących jeszcze w gorszych znajdują się warunkach jak w m. Warszawie. W tych zaniedbanie, obojętność i nieświadomość głównych zasad sanitarnych i nauk budownictwa—dochodzi do ostatecznych granic—i to właśnie powinno skłaniać do szukania środków zaradzenia temu. Domy mieszkalne w wielu miastach i wsiach są budowane z łupków wapiennych i gliniastych, z kamieni piaskowcowych i granitowych, z cegły palonéj albo z surówki na glinę murowanych, a najczęściéj bez znajomości zasad sanitarnych i budownictwa—z których to przyczyn domy te są wilgotne i zimne, a tém więcéj dla mieszkańców niezdrowe jeżeli są nieobrukowane i przy drogach błotnistych położone.

Na wsiach mieszkania dla czeladzi folwarcznéj, chociaż wiele zostawiają do życzenia jednak w ogólności znajdują się w lepszych

warunkach aniżeli włościan uwłaszczonych. W budownictwie chat włościańskich te są wady najgłówniejsze: że zręby chat są zbyt nizkie a przez to izby zaledwie po 6 do 7 stóp są wysokie i w nich brak czystego powietrza, że okapy dachów są zbyt małe pomimo że dachy są zwykle za wysokie, a przez to ścieki z dachów i deszcze oblewają ściany chat i w nich zawiązują wilgoć i powodują rychłe spróchnienie budowli, że okna w izbie około 70 łokci kwadr. powierzchni mającej, mają światła od $2^1/_2$ stóp do $4^1/_2$ stóp kwadr. a nareszcie, że drzwi są zaledwie 6 stóp wysokie, piece i kominy z gliny i kamieni bez szybrów żelaznych, nieogrzewające i rozwalające się, a naostatek podłoga jest z ziemi gliniastéj zwykle mokréj. W mieszkaniach takich często zlemi dachami nakrytych podczas mrozów zimno i dym dokuczają, a gdy odwilże nastąpią dusi w nich zaduch i para wywiązuje się z podłogi i ścian. To złe powietrze w izbach włościańskich, pogorsza jeszcze zwyczaj prawie powszechny, hodowania w nich, szczególniéj w zimie: kur, gęsi, gołębi, królików, jagniąt, świń i cieląt. Z tych to przyczyn wywiązują się w tych chatach ciężkie i przedwczesne choroby na starszych ludzi, a pomiędzy dziećmi panuje wielka śmiertelność, a tém większa gdy te zwykle są licho odziewane i gdy o nie mniéjszą rodzice okazują troskiwość aniżeli o wyżéj wyliczone zwierzęta.

Z wielką przyjemnością dodać tu mogę, że od lat siedmiu dostrzegamy na wsiach większą dbałość niektórych włościan o polepszenie stanu swoich budowli mieszkalnych i gospodarskich a nie w jednéj wiosce można zobaczyć dom nowy, jakby dworek mały który i wewnątrz ma już podłogę drewnianą i inne ulepszenia o których potrzebie tu piszemy. Na téj zasadzie opierając się, sądzę, że gdyby były rozesłane gminom plany na różne chaty i budowle gospodarskie dla włościan i gdyby ci zostali dopilnowani z urzędów Gminnych, aby do tych planow ściśle stosowali się przy naprawie i stawianiu nowych budynków—to w krótkim czasie—stan zdrowia ludności włościańskiéj zostałby polepszonym i wsie przybrałyby pozór korzystniejszy aniżeli teraz. Toż samo Wójci Gmin i Sołtysi wioskowi mogliby zostać zobowiązani do usunięcia z chat włościańskich zwierząt wyżéj wyliczonych, które swojemi wyziewami czynią szkody w zdrowiu mieszkańców tych chat.

Naostatek w celu ochronienia na przyszłość małych dzieci od śmierci z zaziębienia, albo od ciężkich ztąd chorób, trudno nam jest wynaleść środek doraźny a skuteczny. Zastanawiając się nad tém bliżéj, widzimy, że z urzędu nie można wpłynąć inaczéj na polepszenie tego położenia kółek domowych, nad gorliwe rozpowszechnianie oświaty elementarnej, aby nią otworzyć oczy nowym pokoleniom i doprowadzić takowe do większego poczucia obowiązków rodzinnych i społecznych. Gdy jednak skutki z téj oświaty niemogą tak prędko nastąpić, ażeby potrafiły nagle odmienić dotychczasowe zaniedbywanie się rodziców i głów domowych w swoich obowiązkach, nie pozostaje nam przeto nic innego do zrobienia jak prosić Szan. Duchowieństwa różnych wyznań w kraju, aby to ciężkie zadanie na siebie przyjąć raczyło, jako mające wyłączną możność swojemi trafnemi przemowami do zobowiązania ludności ubogiéj i nieoświeconéj, aby więcéj była troskliwą o zdrowie własne i swoich dziatek oraz o ich wychowanie domowe.

J. R. Wiland.

Z KRONIKI NAUKOWÉJ.

(*Dokończenie.—patrz Nr. 3*).

Zbierzmy główne zarysy jego hypotezy. Ziemia najpierw rozżarzona, stygnie przez promieniowanie i powleka się stałą skorupą. Następnie woda może na niéj utrzymywać się w stanie płynnym. Daléj występują rośliny i zwierzęta. Słońce wszakże, będące w stanie półmgławicy, słabo tylko ociepla planetę, która wszystek prawie cieplik otrzymuje z ognia w jéj wnętrzu zawartego. Skład atmosfery ciężkiéj, gęstéj, bogatéj w kwas węglany i parę wodną, przyczynia się do utrzymania na kuli ziemskiéj temperatury jednostajnéj, i podniesionéj. Suchość powietrza i wilgotność jego w różnych epokach geologicznych, odnosi Contejean do przyczyn astronomicznych. Ku końcowi okresu kredowego, zaczynają się objawiać skutki nieustannego zgęszczania się słońca. W tymże czasie, ciepło wewnętrzne ziemi przestaje oddziaływać na zewnętrzną jéj skorupę. Atmosfera oczyszcza się ostatecnie. W owym to czasie bieguny ziemskie oziębiają się, izotermy [1]) rysują sięnieco wyraźniéj;—wpływ przyczyn astronomicznych działa przeważnie. Główną fazę zgęszczenia się słońca, oddziaływającą na ziemię, Contejean naznacza w okresie trzeciorzędowym, w końcu którego ciało słoneczne przyjmuje stan fizyczny, dziś istniejący. Ziemia prawdopodobnie była wówczas w takiéj saméj odległości od słońca, jak obecnie tak co do punktu odsłonecznego, jak z przysłonecznego, [2]) ponieważ skutki największéj odległości jéj od słońca, dają się uczuć w początkach okresu czwartorzędowego.

Dziś nasza planeta znajduje się w tém położeniu w stosunku do bryły słonecznéj, że wpływ największéj odległości jéj od tejże, jest prawie nic nieznaczący. Wpływ ten wszakże powiększać się będzie zwolna, stopniowo. Gdy atmosfera ziemska pochłoniętą zostanie, i zniknie równie jak morza, dla mieszkańców ziemi wybije ostatnia godzina. Planeta nasza przejdzie w stan księżyca.

Nie można odmówić hypotezie Contejean'a jasności w tłómaczeniu zjawisk, i podstaw wybornéj obserwacyi—o wartości jéj wszakże dopiero krytyka naukowa ostatecznie wyrzecze.

* * *

Nie możemy pominąć w naszém sprawozdaniu ważnych wypadków, do jakich doprowadziły nowe badania nad ustrojem komet. Ciała te, według hypotezy Tait'a, są grupami kamieni meteorycznych. Pogląd tego uczonego stwierdzonym został w roku 1866, przez Schiaparelli'ego, który obliczył, na podstawie obserwacyj czynionych nad meteorami sierpniowémi, orbitę tych ciał i znalazł ją prawie zgodną z orbitą wielkiéj komety z roku 1862, obrachowaną przez Oppolzera. W ten sposób Schiaparelli okazał, że komety składają się z gromady kamieni meteorycznych. Professor Newton, amerykanin, rozpatrując się w dawnych obserwacjach, wykrył, że od roku 902, po upływie każdych 33 lat, następował nadzwyczaj obfity spadek meteorów listopadowych, a prócz tego okazał, że meteoryty gęstszéj masy, stanowią głowę komety, rzadsze zaś towarzyszą warkoczowi. Obserwacye poczynione przez Hugginsa, na podstawie analizy widmowéj, potwierdziły stanowczo teorję Taista. Komety odtąd uważać należy za zbiorowiska kamieni meteorycznych; jądro ich błyszczy własném swiatłem, a światło to powstaje z uderzeń ciał tworzących kometę. Warkocz wreszcie, składa się z meteorów daleko mniejszéj gęstości, oświetlonych od słońca. Większa lub mniejsza ich widoczność pochodzi nietylko od liczby meteorytów, ich odległości, mocniejszego lub słabszego zświetlenia, — ale nadto i od ich układu.

Teorya Tait'a wyjaśnia nam wybornie zjawiska kometarne i cechuje się nieporównaną prostotą.

[1]) Izotermy, są to linje wynikające z połączenia miejsc jednakową średnią temperaturę roczną przedstawiających. Linje te wyrażające tém samém średnią temperaturę roczną, wszakże nie są wcale równoległe do linji szerokości geograficznéj.

[2]) Ziemia w czasie swego obiegu, dochodzi do punktu największéj odległości od słońca, wynoszącéj 21,030,055 mil 2-go Lipca, punkt ten nazywa się *odsłonecznym*. Na przeciwnym punkcie osi wielkiéj, znajduje się ziemia 1-go Stycznia, jest wówczas najmniéj oddaloną od słonecznéj kuli, bowiem tylko o 20,334,825 mil, punkt ten nosi nazwę w astronomii przysłonecznego.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy.*)

— Zbyt jesteś dobra! rzekła ironicznie pani Kennedy, – ale zapewne, należy mi w duchu przyjaznym przyjąć owo wspaniałomyślne oświadczenie. Naturalnie, jeżeli cię ojciec złaje, lub zgani, zwalisz to łaskawie na mój rachunek.

— Nie,—otwarcie odpowiedziała Sybilla; nie sądzę, żebyś pani życzyła tego sobie. Wierzę nawet, iż chciałabyś być dla mnie dobrą. Ale nigdy nie przyjmę czułości od przyjaciółki, która mnie zdradziła.

Pani Kennedy pomyślała chwilę i rzekła chłodno:

— Jesteś młoda i niedoświadczona, więc szorstka i surowa. Późniéj, inaczéj o tém wszystkiém będziesz myślała. Zawsze będę gotowa do chętnego wznowienia naszéj dawnéj przyjaźni, ale pierwsza musisz się o nią starać, Sybillo. Zrobiłam wszystko, co powinnam była zrobić, nawet więcéj, niż twój ojciec życzył sobie.

I nie czekając odpowiedzi, nie spojrzawszy nawet na Sybillę, opuściła pokój.

ROZDZIAŁ IX.

Pusto było w kantorze, kiedy pani Kennedy weszła do niego, ale świeca zapalona stała na stole i pani Kennedy wiedziała, że Dermot tu przyjdzie. Siadła więc i czekała jego przybycia. Śmiała to była kobieta, chociaż niedobra i postanowiła stawić czoło niebezpieczeństwu i nieprzyjaciołom, jakich sobie zyskała. Nie udało jéj się z Sybillą, ale nie odstręczyło to jéj to od próby z dawnym kochankiem. Siedziała więc, czekając cierpliwie, i z pewną wzgardą i żalem myśląc o tragicznym poglądzie Sybilli na to, co się stało.

Ale żal ten nie odpowiadał usposobieniu Blanki. Wprawdzie, nie spodziewała się takiego obrotu rzeczy, nie będąc z naturyani głęboką, ani przewidującą. Lubiła iść naprzód, spychać drugich na bok, deptać przeszkody, nie pytając się o to, co będzie kosztować zwycięztwo. Przemyślnych planów nie kreśliła; miała tylko talent udawania, któremu mało kto mógł się oprzéć. Jak tylko weszła do domu pana Kennedy i oceniła wygodną tę siedzibę, natychmiast postanowiła pozbyć się Dermota, a pójść za mąż za ojca swojéj przyjaciółki. Wprawdzie Kennedy o nią nie dbał, wiedziała o tém; ale cóż to znaczy? Tém świetniejsze będzie zwycięztwo. Zarzuciła więc siatkę, a gdy ptaszek wpadł w jéj węzły, śmiała się jak swawolne dziecko. Był jeszcze o tyle młody i piękny, iż można go było polubić, zresztą, uwielbiał ją, będzie więc szczodrym. O Sybilli nie myślała wiele, a o Dermocie wcale nic.

— Gdyby mnie była tak kochała, jak to mówiła,—myślała sobie panna Cains,—saméj jéj przyszłoby to do głowy. Rozumié się, wié, że ojciec może się jeszcze ożenić, dlaczegoż więc nie postara się, żebym została jéj macochą? Nie, woli, żebym zależała od niéj. Chciałaby mnie obsypywać dobrodziejstwami, całować i pieścić, jak pieska. Tak być nie może. Jednak będę dobrą dla téj biednéj, kochanéj Sybilki!

Żeby oddać sprawiedliwość przytoczyć nawet musimy, że panna Cains miała pewne przepyszne plany urzeczywistnienia téj swojéj dobroci. Będzie, myślała sobie zawsze skłaniać Kennedego do kochania swojéj córki. Żadna panna w Saint Vincent niewyrówna Sybilli wytwornością stroju. Pokoik będzie miała jak pieścidełko, a czego tylko w fantazji swéj zapragnie, uzyska od ojca za pośrednictwem swéj macochy.

Tak to ładnie wyglądało w marzeniu, a tak przykro rozbiło się o rzeczywistość! Przewrotna Sybilla sama wszystko popsuła. Nie kochała jéj więc—było to tylko przywiązanie jak do pieska, a że Blanka niechciała być pieskiem, więc ją Sybilla znienawidziła.

Mimo różnicy dwóch natur, miss Cains polubiła Sybillę. Na pensji jeszcze niekłamane uwielbienie jakiego była przedmiotem sprawiało jéj przyjemność. Późniéj, wystawiona na wszelkiego rodzaju upokorzenia i wzgardę, lubiła się pocieszać ubóstwianiem jakie jéj okazywała przyjaciółka. Koiło to rany na które jéj próżność ciągle była wystawioną. Teraźniejsza więc zmiana stosunku była jéj rzeczywiście przykrą.

Odgłos kroków zbudził ją z rozmyślania. Drzwi się otwarły, obróciła się i wymieniła z przybyłym zimne, nieprzyjazne spojrzenie. Po chwili milczenia Dermot chłodno zapytał czém może służyć pani Kennedy.

— Sądzę, że pan możesz odgadnąć—odpowiedziała. Siałeś pan ciągle niezgodę między córką mojego męża a mną, a czyniąc to daléj oczywiście uczynisz mi przykrym pobyt w tym domu. Przyszłam więc zapytać się, któż z nas dwojga ma ten dom opuścić—bo razem w nim przebywać niemożemy.

— W takim razie, z żalem muszę powiedzieć, iż pani to będziesz musiała uczynić, bo ja nie mam zamiaru wyjechać.

Pani Kennedy spoglądała na niego raczéj zniecierpliwiona niż rozgniewana.

— Może pan zechcesz się wytłómaczyć, — rzekła po chwili— pocóż mamy rozmawiać zagadkami.

— Dlaczegóżbym ja miał tłómaczyć się?—zechciéj pani zapytać męża, on to wie dobrze.

— Panie Dermot, spodziewałam się, ze postąpisz jak człowiek dobrze wychowany, widzę żem się zawiodła.

Wstała spoglądając na niego z wyrazem obrażonéj dumy, ale Dermot uśmiechnął się chłodno i milczał. Ona niemogła go urazić.

— Zerwanie nastąpiło za wspólną zgodą—mówiła daléj, a że użyłam wolności jaką mi pan dałeś, teraz rzucasz mi obelgę.

— Racz pani przyjąć radę przyjacielską—rzekł Dermot,—nie uniewinniaj się wtedy gdy nikt nieczyni zarzutu. Wolno było pani obdarzyć swoją ręką Kennedego i niemogłaś nią godniejszego człowieka obdarzyć. Zrobiłaś pani dobrą partję i nikt jéj tego niewymawia.

Blanka spojrzała nań błyszczącym od gniewu wzrokiem.

— Chcesz pan mię nastraszyć, ale naprożno, tak, naprożno! Możesz próbować, panie Dermot!

Dermot wyjął pugilares, otworzył go, i wyjął list, który ujrzawszy Blanka zbladła jak ściana. Jednym rzutem oka poznała charakter pisma własnego—był to dowód w jego ręku. Bezwątpienia okaże go mężowi i trzeba będzie się przyznać do obłudy. Przyszło jéj na myśl wyrwać list z ręki nieprzyjaciela—ale byłoby to usiłowanie naprożne, a niebezpieczne. Stała więc w milczeniu, patrząc nań ponurym wzrokiem.

— Przez nieuwagę—rzekł Dermot z przyciskiem na to słowo, list ten pozostał w moim ręku. Zastanawiałem się czy go zniszczyć, czy też zwrócić pani, ale ponieważ tu przybyłaś, więc kwestja rozwiązana.

Położył list przed nią na stole. Wzięła go do rąk i trzymając niedbale myślała nad tem, dla czego mając ją tak w swéj mocy niechciał jéj szkodzić? Przecie nie w skutek dawnéj miłości. Zawsze warto było przekonać się, rzekła więc uprzejmie.

— Dziękuję pana.

Spojrzał na nią—i co do znaczenia tego wzroku nie mogła się mylić: nie było w nim ani iskry dawnéj miłości. Zapaliła list u świecy i rzuciła go ze wzgardą na kominek, uważając aby się spalił do szczętu.

— Panie Dermot—rzekła—pan wiesz, że niemogę od mego męża żądać wytłomaczenia. Żądam go od pana i obowiązany jesteś mi odpowiedzieć.

Jak długo jeszcze myślisz tu bawić?

— Musisz pani męża oto zapytać, lub też pozostać w niewiadomości. Dlaczegóżby nie miał pani powiedzieć? dlaczegóż mam ja mówić? Przeszłość zamknięta za nami—jesteśmy obcy dla siebie, a dziś spotykamy się poraz pierwszy. Po za takiém pojęciem stosunku znajdziesz pani tylko trudności i przykrości.

— Panie Dermot—rzekła Blanka—jesteś fałszywym, złym człowiekiem i nienawidzę cię! Ale nie mam potrzeby pytać Kennedego, rozumiem, jesteś jego wspólnikiem, czy czemś podobnem. Niech tak będzie. Obejdę się bez twojéj łaski. Łudziłeś mnie dosyć długo, ale wiedz o tém, że choćby Kennedy był starszym i uboższym, wolałabym go tysiąc razy niż ciebie.

Wyszła z kantoru nie spojrzawszy już na Dermota, czuła to co mówiła w téj gorzkiéj chwili. Łudzoną była, a nawet oszukaną i widziała to, ale większą była jéj nienawiść niż boleść z oszukania.

Dermot w dawniejszym stosunku nieuważał za potrzebne uwiadamiać ją, iż był bogatszym niż sądziła, ani nieobjaśnił ją o stanie majątkowym Kennedego. Dał jéj się złapać w sieć którą sama zastawiła, a teraz drwił z niéj sobie! Niech drwi, ale nie ujrzy jéj żalu, ani upokorzenia. Na złość w jego oczach będzie kochać Kennedego, to będzie jéj zemstą.

W takiém kochającém usposobieniu weszła pani Kennedy do swego pokoju, gdzie małżonek jéj czekał niespokojnie. Myślał, że u Sybilli bawi, co wydało mu się przydługiem. Czy czarodziejka potrafiła ugłaskać Sybillę. Spojrzał na nią z ukosa gdy weszła. Pani Kennedy pogodnie uśmiechnięta zbliżyła się do niego z żartobliwą, przepraszającą minką.

— Nie jeszcze, nie jeszcze. Teraz jest zmartwiona, ale to przejdzie. W istocie byłybyśmy się odrazu pogodziły gdyby nie było kogoś siejącego niezgodę. Więc też wracając wstąpiłam do kantoru, do pana Dermota, i porządnie mu zmyłam głowę. Powiada, że o niczém nie wié, zdaje się, że się obraził. Czy źle uczyniłam? No, nie patrz tak chmurno na mnie, ale powiedz mi mój kochany, jak ja mam się zachować względem tego pana Dermota? Czy on jest oficjalistą—czy ma jaki udział w interesie—co on tu robi? Czemu nie pojechał do Kanady?

Kennedy nie był skłonny do wywnętrzeń, odpowiadał więc tylko pieszczotami, niedbale. Blanka oparła głowę na jego ramieniu, tak iż oddech jéj uczuł na policzku, białą rączką rozgarnęła włosy—i pokonała go. Uległ ukochanéj Dalili.

— Moje serce—rzekł—w interesach trzeba zachowywać tajemnicę nie mów więc o tém nikomu, nawet Dermotowi—bo w istocie zdałem mu cały obrot w Francji, a sobie tylko zagraniczne stosunki zachowałem.

Pani Kennedy spojrzała jak dziecko niebieskiemi oczami, wielkiemi z zadziwienia.

— Czyż i ten dom jest jego?

— No tak, kochanie. Dom liczy się razem z olejarnią.

Zimny dreszcz przeniknął aż do serca pani Kennedy. Była to praktyczna kobieta i rozumiała się tylko na takim majątku, który można było ręką namacać i wzrokiem widzieć. Czémże były zagraniczne stosunki Kennedego? Niczém. Dom, olejarnia, stosunki handlowe we Francji, to dotykalne dobra,—i należały do odrzuconego kochanka! Patrzyła na białych Kupidynów w niebieskiém obiciu, na kosztowne meble, aksamitne dywany, i wydały jéj się wstrętne. Spojrzała ponuro na męża, o którego ramię opierała głowę i zmienił się w jéj oczach. Jakże staro wyglądał! zupełnie staro, nawet siwe włosy miał w brodzie, a ona była jego żoną, jego, co może jutro żebrakiem będzie!

— Zmęczyłaś się—rzekł Kennedy.

Blanka drgnęła trochę i podniosła się.

— Nie, zamyślałam się tylko. Czy wszyscy tu mieszkać ciągle będziemy w tym domu. Dajmy na to Dermot się ożeni.

— A dajmy na to ożeni się z Sybillą—zartobliwie rzekł Kennedy, całując jéj rękę.

Lubiła się Blanka szczycić, ze nie była zazdrosna. Chluba ta znikła po tém co jéj mąż powiedział. Dajmy na to ożeni się z Sibillą; każdego innego chętnieby życzyła na małżonka swojéj niegdyś przyjaciółce, ale nie tego. Co? na to więc układała plany, intrygowała, zdradzała; na to sprzedała się staremu, ażeby oni dwoje szydzili sobie z niéj swoją miłością i swém bogactwem? Myśl to była nie do zniesienia, uśmiéchnęła się więc i rzekła:

— To być nie może.

— Dla czego nie?

— A nie powiesz nic Sybilli?

— Nie—cóż to takiego?

— Dobrze więc—a nie powiesz Dermotowi?

— Nie.

— Słowo?

— Słowo daję—cóż to takiego?

— Otóż on się oświadczał Sybilli, a ona odmówiła — sama Sybilla mi to mówiła.

— Kennedy ugryzł się w wargi i zrobił bardzo kwaśną minę.

— Oświadczył się Sybilli?

— To jest, może nie wyraziłam się jak należy—raczéj dał jéj do zrozumienia że ją kocha, a Sybilla dała mu poznać że nie myśli o nim. Nie wiém w jakich to tam było wyrażeniach—ale było coś w tym guście.

Kennedy zrobił minę bardzo nieukontentowaną, przeszedł się kilka razy po pokoju i stanął znowu przed żoną.

— Sybilla musi iść za niego—rzekł szorstko.

— Nigdy nie pójdzie — pomyślała pani Kennedy zaciskając zęby. Ale obok téj myśli przeszła jéj inna przez głowę i dreszczem ją przejęła. Czy Kennedy nie był zrujnowany, czy ten związek nie był dla niego jedyną drogą wyjścia z kłopotu?

— Mój drogi—rzekła—czy ten dom rzeczywiście należy do Dermota?—To jest, czy to już tak urządzone, że do niego ma należyć?—dajmy na to, gdybyś się kiedy z nim poróżnił?

— Nie poróżnimy się nigdy.

— No tak, ale przypuściwszy?—rzekła z naleganiem.

— Gdybyśmy poróżnili się nim rok minie, to wracam do dawnych praw moich, bo nasz układ dopiero za rok staje się ostateczny.

Pani Kennedy odetchnęła. Za rok! dość będzie miesiąc czasu. Przybrała więc znowu pieszczotliwą minkę i wydobyła jeszcze od męża przyrzeczenie, że żadnego wyrzutu nie zrobi Sybilli.

Kennedy ucałował ją czule i pomyślał sobie że ma anioła za żonę: ale mimo to nie powiedział jéj całéj prawdy, że Saint-Vincent i olejarnia i stosunki handlowe z Francją, wszystko to było sprzedane Dermotowi, że piękny pokój w którym teraz stali umeblowany został w dodatku do summy kupna. Nie powiedział jéj, że Saint-Vincent nigdy nie było jego wyłączną własnością, nie powiedział jéj, że stracił tysiące nim jeszcze przybył do Opactwa, że stracił posag córki i że po trzeci raz w życiu miał dorabiać się na nowo.

ROZDZIAŁ X.

Każde szczęście okupuje się na tym świecie i Sybilla też drogo teraz płaciła za wesoło i bez troski spędzone młode lata. Poprzednie jéj zmartwienia nie dorównywały obecnemu: gorzkie były, ale jednorazowe. Ciężko było przenieść zdradę narzeczonego; ciężéj jeszcze było kochać człowieka, który ją lubił jak dziecko i tym sposobem zagradzał drogę wszelkiéj nadziei: ale duma wyleczyła ją z pierwszego doznanego zmartwienia, a co do drugiego, jest jakiś tajemniczy balsam w ranach które miłość zadaje, tak iż nigdy nie bywają śmiertelne. Na przekor poetom, ani mężczyzni, ani kobiety nie umierają z miłości. Miłość jest życiem i raczéj ożywiła umarłego niż żywego zabiła.

Ale dla zdradzonéj przyjaźni nie ma pociechy; nie ma ulgi dla odnawiającego się codziennie żądła, obrazy, zazdrości i pokrzywdzonego uczucia. Taki był stan Sybilli. Zdawało się, że nie ma granic rozkochaniu się ojca i potędze Blanki, a Sybilli pozostawało jedynie przypatrywać się temu. Elżbieta, pokojówka jéj macochy, miała teraz więcéj w domu powagi, niż ona. Nigdy nie pytano się o jéj gusta, upodobania, była niczém. Goście tłumnie przybywali do Saint-Vincent, zapytywali o panią Kennedy; a panna mogła się zjawiać w salonie lub nie, nikt niedbał oto. Pani Mush miała dobre serce, a pan Dermot miał więcéj niż dobre serce; jego czujna opieka była ciągłą protestacją przeciw okrutnéj zmianie, ale bądź co bądź niemógł zmienić położenia. Tymbardziéj, że żył bardzo w odosobnieniu, ciągle przy pracy, podczas kiedy Kennedy w niezwykły sposób przedłużał swój miesiąc miodowy. Czasem raz na dzień ledwie się pokazał, a Sybilla pędziła dni samotne, lub też siedziała milcząca i ponura obok swojéj macochy. Ale i to rzadko się zdarzało, bo pani Kennedy rozwinęła stosunki w miasteczku, codziennie wyjeżdżała, najczęściéj wraz z małżonkiem i żyła w ciągłych wizytach i zabawach. Niekiedy tylko jaki niespodziewany a miły objaw pamięci ze strony Dermota stawał się promieniem słońca w jéj ponurém życiu; ale to tylko niekiedy, bo Dermot bardzo był pracy oddany i „zresztą niedba o mnie" myślała Sybilla.

Tak czas płynął aż do dnia na bal przeznaczonego.

Zimny i ostry północny wiatr dął od morza: czas to był w którym najmiléj w domu siedzieć, w którym ten tylko opuszcza dach kto musi. Mimo to, zaledwie skończyło się śniadanie, Sybilla pobiegła do swego pokoju, zarzuciła ciepłe okrycie, zbiegła do ogrodu, a stamtąd na pola, i szła walcząc z wiatrem, póty, aż zmęczona, zdyszana, siadła na darniowéj ławce, na któréj poraz pierwszy dowiedziała się, że Dermot nie był jéj stryjem.

Wspomniała sobie pysną pogodę owego wieczoru, swój gniew i boleść, gdy usłyszała wyznanie—i wszystko to jéj wydało się snem dalekim. Zdawało się wieki od tego czasu przeżyła, a i życie jéj tak jak stan pogody odmienne teraz było. Zamiast słonecznych blasków, chmurne niebo, zamiast lazurowego morza pieniące fale, wściekle bijące o skały.

Na odgłos szybkich kroków zwróciła głowę. Dermot to był, który spostrzegłszy ją zwrócił ze swego kierunku i zbliżywszy się siadł koło niéj.

— Sybillo, rzekł z wyrzutem, co pani tu robisz? Zziębłaś, wyglądasz jak duch błędny.

— Nie mogę znieść domu—odpowiedziała Sybilla.

— I dla tego marzniesz tu na tym ostrym wietrze. Trzeba było wybrać jakie dogodniéjsze miejsce. Pójdź pani ze mną.

Sybilla apatycznie przyjęła propozycyę. Dermot podał jéj rękę i szybko poprowadził do ustronia osłonionego od wiatru. Blade słońce rozdzielając chmury, dawało trochę ciepła i lekkie kolory wystąpiły na twarz Sybilli. Dermot zapytał się, jak jéj ta ustroń się podoba, na co z uśmiechem odpowiedziała, że ją przyjemną znajduje.

Mówią, że litość graniczy z miłością, więc w współczuciu jakie w téj chwili napełniło serce Dermota, było cóś na kształt miłości. Czuł to i wiedział o tém. Chętnieby to biedne pokrzywdzone dziecię otoczył miłością i pieszczotami, spełniał jego życzenia i wzamian zyskiwał wdzięczne spojrzenia i uśmiechy. Chętnieby ją osłonił od nieprzychylnych oczu, by wzamian zyskać miłość tego szczerego a namiętnego młodego serca; chętnieby przywrócił jéj dawne życie pełne swobody i radości, znajdując nagrodę w spełnieniu takiego zadania.

— Ciągle więc martwisz się pani—rzekł, spoglądając na nią i mając na ustach „dozwól mi się pocieszyć."—Niechcesz się poddać swemu losowi.

(D. c. n.)

Z kroniki przemysłowéj i społecznéj.

— Doszło nas w tych dniach sprawozdanie z 2-go półrocza działalności stowarzyszenia p. n. „Zgoda", istniejącego w Płocku. Otóż stowarzyszenie to liczy obecnie członków 203. Stan czynny wynosił rs. 9,615 kop. 56½ a bierny 8,502 kop. 87 a zatém przewyżka czynnego nad biernym rs. 1,112 kop. 69½. Zysku osiągnięto rs. 2,087 kop. 44½ i to prawie wyłącznie na towarach w sklepie stowarzyszenia sprzedanych, gdyż jakkolwiek stosunek rabatowy i tam wszedł w użycie, zysk jednak na nim osiągnięty wyniósł zaledwie 6 rs. 70 kop. Obrót handlowy wynosił rsr. 20,115. Ograniczał się prawie wyłącznie do artykułów pierwsze potrzeby zaspakajających. Wreszcie dowiadujemy się z Kurjera Warszawskiego, że do stowarzyszenia „Zgoda" przystąpiło kilkudziesięciu mieszkańców miasta Rypina i okolic z warunkiem że stowarzyszenie sklep w tém mieście otworzy. Warto by ten fakt pod bliższą wziąść rozwagę i ocenić czy podobny stosunek nie da się i do innych miejscowości zastosować.

— Jedną z najpożyteczniejszych instytucij, które w ostatnich czasach powstały są bezwątpienia kuchnie tanie. Instytucja ta z saméj natury rzeczy w szczególném znalazła się położeniu. Ma ona dostarczać taniego i zdrowego pożywienia, a nie być dobroczynną, dopomagać ludziom ubogim, ale funduszem przez nich samych dostarczonym. Utrzymać się w takim połowicznym charakterze nie łatwo, zwłaszcza przy tak wielkiéj jak obecna drożyznie. Pozostawienie cen dawnych z pewnością w deficyt instytucję wprowadzi, podniesienie takowych uniemożliwi korzystanie ze zdrowego posiłku klassom biednym...

Z tego też powodu kuchnie tanie w końcu ubiegłego i na początku bieżącego roku sztucznie tylko były podtrzymywane. W samą też porę nadarzył się zapis ś. p. Tekli Świergockiéj w kwocie rsr. 2,260, da on możność przetrzymania krytycznych chwil i porobienia zakupów koniecznych. Oddział kuchen wywdzięczając się za zapis tak szczodry uchwalił zawieszenie jéj portretu w salach jadalnych.

W dniu 24 Lutego r. b. odbyło się posiedzenie Oddziału kuchen tanich. Ze sprawozdania na tém posiedzeniu odczytanego dowiedzieliśmy się, że w roku 1871 wydano 192,237 objadów w obu kuchniaah chrześcijańskich; kapitał w kassach kuchen chrześcijańskich pozostały z końcem zeszłego roku wynosił rsr. 625 kop. 18, w izraelskiéj 756 kop. 92. Tym sposobem kapitał rezerwowy razem z legatem ś. p. Świergockiéj wynosi rsr. 3,053 i kop. 64½. W końcu posiedzenia zaproszono kilka dam dyżurnych i odczytano listę członków oddziału na rok 1872. Listy téj jako pomieszczonéj w pismach codziennych dla krótkości nie podajemy.

— Za granicą staranie się o polepszenie losu klass pracujących ciągle jest na porządku dziennym, ciągle niemal rozchodzą się wiadomości o nowotworzących się w tym celu stowarzyszeniach, legatach i t. p. I tak, w jednym z ostatnich numerów „Norda" wyczytaliśmy wiadomość o otworzonym konkursie o 10,000 franków z legatu doktora Quinard, za najlepszą pracę lub wynalazek w celu polepszenia losu klass pracujących. Komisja oceniająca przedstawione prace składać się będzie z 5 osób przez rząd, z podwójnéj listy przez Akademiję Belgijskę ułożonéj, zamianowanych. Gorączkowa nie ledwie dążność Zachodu w tym kierunku wywołaną została smutném, w saméj rzeczy, położeniem ludzi pracującychfizycznie. Przeludnienie prowadzi za sobą ogromną konkurencję rąk potrzebujących zajęcia, a współubieganie się, znowu—obniżenie cen zarobnych. Prócz tego przy mnożących się ciągle wynalazkach upraszczających i skracających pracę zdarza się, że ta lub owa klassa pracowników naraz ujrzy się bez roboty a tém samém bez środków utrzymania. W takich to właśnie chwilach stowarzyszenia filantropijne działanie i to energiczne rozpoczynać winny, tu ich właściwa rola i pole do urzeczywistnienia szlachetnych swych zamysłów.

Co się tyczy stanu téj kwestji u nas, to trzeba przyznać, że nie jest ona tak paląca, przemysł nasz i fabryki rozwijają się leniwo, żółwim krokiem naprzód postępują... zanim jakieś ulepszenie zostanie wprowadzone lata całe upływają. Natłoku robotników nigdy prawie nie ma, większość fabrykantów i rzemieślników naszych radaby powiększć liczbę u nich pracujących. Mówiąc jednak tak ogólnie nie zapominamy o szczegółach, które wyjątkowo w innėm nieco się świetle czasem przedstawiają. *Np.* mularze nie mają roboty w zimie. Rozsądniejsi jednak radzą sobie wyuczeniem się drugiego choć mniéj zyskownego rzemiosła, którém się w zimie zajmują,—w ostateczności wreszcie rąbią drzewo, którego, z natury rzeczy, więcéj wychodzi w zimie niż w lecie, toż samo robią zduni, cieśle i t. p. Pod tym względem gorzéj nieco stoją ślusarze. Wyuczenie się tego rzemiosła, bowiem wymaga bardzo wiele czasu i całkowicie człowieka absorbuje, przytém ślusarze nie liczą nigdy, że im w zimie roboty zbraknie. Tymczasem, w fabrykach wyrobów żelaznych i warsztatach ślusarskich, ku zimie zmniéjszają się ciągle obstalunki, a biorąc znowu na uwagę większy koszt ogrzewania i oświetlania warsztatów — tylko bardzo zamożni przedsiębiercy na skład roboty wykonywają i zwykle robotnik ślusarski w zimie jest tylko cierpiany w fabryce,—o ile w lecie szukają go i dogadzać mu się starają, o tyle w zimie ani wspomnieć może o jakiéjś podwyżce płacy, zmniejszeniu godzin pracy lub t. p. Jednakowoż i ten stosunek nie jest ostatecznie tak niebezpieczny, gdyż fabrykanci pamiętając o lecie i w zimie są względni i wszystkich robotników utrzymać się starają. Dla tego też powtarzamy, że u nas kwestja ta nie jest tak paląca jak na Zachodzie.

— Grono instytucij ekonomiczno-handlowych powiększa się jeszcze, mającém się wkrótce zawiązać towarzystwem akcyjno-oddziałowém, pod nazwą „Pośrednik", w celu pośredniczenia w tranzakcjach handlowo-przemysłowych i ułatwiania kredytu.

Ludziom nie obeznanym bliżéj z handlowemi obrotami dziwném się zapewne zdawać musi, otwieranie tak licznych kantorów kredytowych, nie jeden zapewne sądzi, że teraz nic łatwiejszego jak pieniędzy pożyczyć, — nie jeden może, już się naprzód delektuje pulardami, truflami, winkiem, które za tak łatwo pożyczone pieniążki sobie i przyjaciołom będzie mógł fundować. Otóż my, jako obowiązani rzetelnie przedewszystkiém informować czytelników, w zasadzie nic przeciwko temu apetytowi nie mamy, — ale... ale —naprzód, nie zaraz, a następnie nie zawszete smakoszowskie instynk—ta mogą być zadowolone... Ludzie, którzy dotychczasową swoją praktycznością, zdolnościami, i rzetelnością dają stosowne rękojmje bezwątpienia w nowotworzących się instytucjach kredyt znajdą i następnie, nie zadając kłamu swéj przeszłości, uzyskane pieniądze umiejętnie w ruch puściwszy zyskają, a zyskawszy, jeśli w tém przyjemność znajdują pójdą sobie, tu lub owdzie, i zadowolnią zbałamucone podniebienie czém im się podoba. Ale inni, którzy wprzód radziby zjadać przysmaki niż na nie zarobić byli w stanie, muszą, nawet przy takiéj jak obecna łatwości kredytu, poprzestać na tém co ich bujna wyobraźnia wytworzyć jest w stanie. Wszystkie bowiem nowo-otwierające się instytucje ściśle się informują o stanie zamożności i widokach żądającego wejść z nimi w stosunki.

Serjo jednak mówiąc, nigdy jeszcze podobno ludzie zdolni i sumienni, nie mieli takiéj łatwości zgromadzenia kapitałów obrotowych jak teraz. I jesteśmy pewni, że jeśli tylko z jednéj strony, instytucje kredytowe wytrwają w dotychczasowéj ostrożności i praktyczności przy udzielaniu pożyczek, a z drugiéj znowu jeśli ich klijenci nie zechcą za często dobréj wiary nadużywać — to kraj nasz w niedalekim czasie w rozwoju ekonomicznėm i społeczném będzie się mógł porównać z zachodniemi. A stan taki niezawodnie pociągnie za sobą postęp intellektualny i moralny. Pamiętne nam są bowiem w tym względzie słowa Bouckl'a. „Jak długo człowiek zajęty jest zbieraniem materjalnych zasobów, nie ma ani wolnego czasu, ani smaku do wyższych poszukiwań, żadną umiejętność nie może być wytworzoną i t. d."

— We wsi Ruminie, powiecie Konińskim odkryto brunatny węgiel kamienny, który, zdaniem techników ma być o wiele lepszy od węgla Brzezińskiego.

— Gazety codzienne donoszą o projekcie założenia fabryki w celu oczyszczania ropy naftowéj galicyjskiéj. Zyski mającéj się założyć fabryki będą polegały na tém, że od nafty oczyszczonéj dość znaczne cło płacić trzeba, a nafta nieoczyszczona od takowego jest wolna.

OD REDAKCJI.

Przypominamy Szanownym prenumeratorom o wczesnéj przesełce prenumeraty na kwartał następny, gdyż od tego zależy regularny odbiór numerów naszego pisma; przytém nadmieniamy, że ze względu sposobu pobierania opłaty pocztowéj, wygodniéj by było dla Redakcji, gdyby pp. prenumeratorowie raczyli nadsełać przedpłatę na dwa kwartały razem.

Sprostowanie. W N-rze 9 Opiekuna w rozprawce p. t. „Z powodu artykułu p. Niewiadomskiego: O trucicielkach w państwie Flory w przedostatnim wierszu str. 69 wydrukowano *Nicatiana* zamiast *Nicotiana*,—oprócz tego na str. 69 tegoż artykułu, pomiędzy 12 a 13 wierszem, opuszczono tytuł: *Familja trawiastych* (Gramineae).

Redakcja bardzo przeprasza swych czytelników, że nie może dać przy tym numerze dodatku, za to do numeru 12-go dwa arkusze dołączone zostaną.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.